DWUTYGODNIK POLITYCZNY

RZECZPOSPOLITA

Nr. 52.] SOBOTA 15. KWIETNIA 1911. [Rocznie......10 K (4 Rb., 8 Mk. Półrocznie 5 K (2 Rb., 4 Mk.

Wybory.

Zadania polityczne polskie w wyborach, które się odbędą w czerwcu r. b., będą następujące.

Wiadomo przedewszystkiem, że podczas gdy z ogólnej liczby 106 mandatów krajowych uważa się 78 za polskie, a 28 za ruskie, to w ostatnich wyborach obóz polski utracił z liczby 78 swoich mandatów nie mniej niż 9, tak że Koło Polskie skupiło, wraz z jednym mandatem wiejskim zdobytym w okręgu drohobyckim, uważanym za ruski, tylko 70 posłów galicyjskich (przed przystąpieniem ludowców tylko 53 t. j. zaledwie połowę ogólnej liczby) a z jednym śląskim 71. Z pośród 9 mandatów utraconych przypadły: 4 miejskie socyalistom (Hudec Lwów VII, Diamand Lwów III, Liebermann Przemyśl, Moraczewski Stryj), 1 miejski Breiterowi (Lwów II), 1 miejski syoniście popartemu przez socyalistów (Stand Brody), 2 wiejskie spółce syonistyczno-ruskiej (Mahler Trembowla, Gabel-Cegielski Podhajce), wreszcie 1 tylko w zachodniej części kraju niezawisłemu żydowi, który może jednak wstąpi do Koła Polskiego (Gross Kraków-Kazimierz).

Otóż pierwszem zadaniem naszem będzie odzyskanie dla Koła Polskiego tych wszystkich mandatów, co nie przedstawia się naogół biorąc, jako rzecz niemożliwa, oraz zabezpieczenie innych, w których podobne niebezpieczeństwo socyalistyczne, syonistyczne i ruskie groziło w ostatnich wyborach i jak wtedy tak i obecnie powino być pokonane.

Socyaliści zdobyli w Galicyi 4 miejskie mandaty polskie (i 2 wiejskie ruskie: Wityk Drohobycz i Ostapczuk Tarnopol). W porównaniu z innymi krajami austryackimi, w których socyaliści zdobyli (zresztą wbrew przewidywaniom i może wyjątkowo, bez podobnych widoków na przyszłość) tyle mandatów, że klub ich liczył 85 posłów, wydawaćby się to mogło niewiele. Sądzićby zatem można, że te cztery mandaty socyalistyczne to jest pewne minimum, z którego utratą z góry już i teraz pogodzić się musimy. Tak jednak nie jest. Należy bowiem jasno uprzytomnić sobie i z całym naciskiem powiedzieć, że właściwie w kraju naszym socyalizm w sposób poważny nie istnieje. Socyaliści nie mają u nas ani ludzi wykształconych politycznie i ekonomicznie, ani programu poważnego, ani organizacyi rzeczowo i porządnie rozwijanych. Główną ich siłą jest hałaśliwa agitacya wśród bezmyślnych warstw, poparcie ludności żydowskiej i ruskiej, oraz terror wyborczy. Zapomocą tych środków skupiają przy wyborach pewną ilość głosów, któraby zwykle nie wystarczała, gdyby nie to, że wiele osób z pośród warstw oświeceńszych nie głosuje, na co oni właśnie liczą. Otóż od czasu ostatnich wyborów urok socyalizmu nie tylko nie wzmógł się, ale znacznie opadł. Wybory z roku 1907 odbywały się bądź co bądź pod świeżem wrażeniem reformy wyborczej, którą socyaliści przedstawiali jako swoje dzieło i po której obiecywali złote góry. Wracają jednak z próżnemi rękoma. Nie należy się tem zanadto uspokajać i łudzić, bo ostatecznie swoich wyborców socyaliści byle czem potrafią ugłaskać i zadowolić. Ale należy sobie jasno powiedzieć, że mandaty socyalistyczne można odbić i powinno się odbić.

W szczególności, co do tych 4 mandatów socyalistycznych rzecz się przedstawia jak następuje. — W okręgu Lwów III otrzymał w roku 1907 kandydat polsko-żydowski p. Horowitz 1676 głosów, socyalistyczny p. Diamand 1672 głosów, syonistyczny p. Braude 853 głosów, a w drugiem głosowaniu, w którem kandydat socyalistyczny otrzymał głosy syonistyczne dzięki pisemnemu i faktycznemu układowi obejmującemu wzajemne poparcie w okręgach Lwów III i Brody, zwyciężył p. Diamand 2475 głosów przeciw 2448 głosów p. Horowitza t. zn. bardzo małą większością. Wprawdzie p. Diamand czuje się w tym okręgu bezpiecznie zarówno z powodu jego przewagi żydowskiej (liczy się około 65—70%) jakoteż z powodu swojej osobistej forsy agitacyjnej. Ale już wynik w r. 1907 jest pouczający. Dodać zaś należy, że w okręgu tym bardzo wielka część uprawnionych do głosowania nie głosowała, bo na 7.000 uprawnionych głosowało niespełna 5.000. Prawdopodobnie wstrzymywała się od głosowania w pokaźnej liczbie także polska ludność chrześcijańska, wobec dwu kandydatów żydowskich, co było oczywiście objawem niedostatecznego wyrobienia politycznego. W okręgu tym może stawać tylko żydowski kandydat polski, ale należy przeprowadzić tam zawczasu silną organizacyę także wyborców chrześcijańskich, których głosy mogą przechylić zwycięstwo na korzyść Koła Polskiego. — W okr. Lwów VII otrzymał kandydat socyalistyczny p. Hudec 2911 głosów, demokratyczno-narodowy p. Maresch 1749, ruski 441. Na 8300 uprawnionych głosowało 5200. Znaczy to, że przy lepszem przygotowaniu można tu ła-

two zmienić wynik wyborów, a przypuszczać można, że organizacya narodowa tego okręgu poczyniła postępy. — W Przemyślu uzyskał socyalista p. Liebermann 3.533 głosów, dem.-nar. p. Królikowski 2496 (uprawn. 7500, głosowało 6000), ale zdaje się, że urok p. Liebermanna znacznie się zmniejszył, a wysiłek obozu polskiego może być dużo większy niż w ostatnich wyborach. — W okręgu Stryj-Kałusz, gdzie jest przeszło 40% ludności żydowskiej, agitacya polsko-żydowska była słabsza (p. Aschkenase 1331 głosów) niż syonistyczna (p. Salz 1722), a kandydat socyalistyczny p. Moraczewski uzyskał w pierwszem głosowaniu 2015 głosów, w drugiem zaś, gdy był wybór już tylko między socyalistą-katolikiem a syonistą, 3380 głosów. Kandydatura polsko-żydowska, którąby od początku silnie popierano wśród ludności żydowskiej, a któraby zarazem nie była szczególnie niemiłą dla ludności katolickiej polskiej, powinna tu uzyskać większość.

Z okręgów, zagrożonych przez socyalistów, które jednak obroniono w roku 1907 i które obronić należy także teraz, wymienić należy Lwów VI (p. Buzek 1162, p. Hausner 1066), Kraków IV (p. Petelenz 1337, p. Daszyński 1216). Z tych dwu okręgów mniej bezpieczny jest krakowski, tem bardziej, że uporczywie krążą pogłoski, iż p. Daszyński nie będzie zwalczany przez p. Lea tak jakby należało. Nadto liczyć się należy z kandydaturami żydowsko-socyalistycznemi w miastach mających silną ludność żydowską, mianowicie w Tarnowie 42% (p. Battaglia 2701, p. Drobner 1753, w drugiem głosowaniu) i w Kołomyi 48% (p. Kolischer 1970, soc. p. Schorr 1137, syon. p. Thon 824), tem bardziej że zarówno p. Battaglia jak p. Kolischer będą obecnie zapewne kandydowali gdzieindziej.

Wybór p. Breitera w okręgu Lwów II był hańbą, której kraj obecnie musi uniknąć. W głosowaniu ściślejszem otrzymał tam p. Stesłowicz 1661 głosów a Breiter 1843. Ale na 5000 uprawnionych głosowało tylko 3.500. Starania ze strony obozu narodowego były niewystarczające i spoźnione.

Syoniści nie mają wielkich widoków. P. Stand, który w Brodach otrzymał w drugiem głosowaniu, dzięki kompromisowi z socyalistami, 2.585 głosów przeciw 2.228 kandydata polsko-żydowskiego p. Wollernera, nie utrzyma się, jeżeli zostanie tam postawiona silna kandydatura np. p. Kolischera. Wybór dwu syonistów w okręgach wiejskich polsko-ruskich był przypadkowy i związany jest ze sprawą ruską w wyborach.

Ze strony ruskiej grożą nam niebezpieczeństwa bardzo poważne z powodu niezbyt szczęśliwego systemu mieszanych okręgów dwumandatowych. Jak wiadomo, groźne tu jest przedewszystkiem rozbicie głosów polskich, bo jeżeli w pierwszem głosowaniu kandydat ruski otrzyma 50% głosów, a polski nie otrzyma 25%, następuje wybór ściślejszy między kandydatem polskim a drugim najbliższym (żydowskim jak było w okręgu trembowelskim i podhajeckim, albo drugim ruskim jak może się zdarzyć), a wtedy wszyscy Rusini znowu głosują i oczywiście przeciw kandydatowi polskiemu. Więc po doświadczeniach z ostatnich wyborów uważać należy za rzecz pewną, że żadne stronnictwo polskie nie odważy się na niekarność, oraz że jak najczujniej baczyć się będzie, aby w żadnym okręgu mieszanym część wyborców polskich nie została podstępnie w błąd wprowadzona n. p. wysunięciem innego kandydata polskiego. Zarazem godzi się dodać, że kandydaci i agitatorowie jakiejkolwiek barwy, którzyby się poważyli powtórzyć spekulacyę pp. Mahlera i Gabla, obliczoną poprostu na podstępną kradzież mandatów polskich i zupełnie odbiegającą od zwykłej walki wyborczej, musieliby być przez ludność polską zwalczani jak najostrzej.

Cztery stronnictwa ruskie ubiegać się będą o mandaty. Mianowicie: ukraińcy zjednoczeni od p. Oleśnickiego do p. Trylowskiego; moskalofile barwy pp. Dudykiewicza i Markowa; starorusini barwy pp. Korola, Hlibowickiego i ks. Dawydiaka; chrześcijańsko-społeczni barwy p. Barwińskiego. Dwie z tych grup, mianowicie p. Korola i p. Barwińskiego, są bardziej niż inne skłonne do porozumienia z Polakami i mają dążenia mniej radykalne społecznie i narodowościowo. Otóż obóz polski musi się z tem liczyć. W wyborach roku 1907 głosy polskie, często bardzo liczne w okręgach ruskich, zupełnie nie zostały zużytkowane do obalenia gorszych a poparcia mniej złych kandydatów ruskich, a zatem zostały poprostu zmarnowane. Np. w okręgu brzeżańskim (ukr. Lewicki 16.255, ukr. Staruch 9.020, starorusk. 9.241, polsk. 3.730) albo nadwórniańskim (ukr. Trylowski 15.591, ukr. Romańczuk 11.157, star. 8.546, polsk. 10.035) nie byliby, po takim wyniku pierwszego głosowania, przeszli w trzeciem tu i tam dwaj ukraińcy, gdyby między Polakami a starorusinami przyszło było do wzajemnych kompromisów. I obecnie w pierwszem głosowaniu należy głosować na własnych kandydatów, ale następnie pożądane są kompromisy czy to z grupą p. Korola czy p. Barwińskiego.

Drugiem zasadniczem dążeniem, obok zapewnienia Kołu Polskiemu pełnej liczby należnych mu mandatów, jest lepszy niż w ostatnich wyborach dobór posłów, którzyby naprawdę byli pożytecznymi, zdolnymi do pracy, członkami Koła Polskiego i stali na wysokości zadań polityki naszej w Wiedniu.

Jeśli poziom Koła Polskiego ma się zmienić, może to się stać tylko w dwojaki sposób: 1) albo znacznie się zmieni stosunek stronnictw na korzyść stronnictw zasobniejszych w zdolności polityczne, 2) albo znacznie się zmienią kandydaci poselscy dotychczasowych stronnictw i zamiast nieużytków wprowadzeni będą ludzie poważni i zdolni.

Zmian bardzo wielkich w stosunku liczbowym stronnictw przewidywać bodaj nie można, chociaż wszelkie rachuby pod tym względem są w kraju naszym, politycznie jeszcze bardzo płynnym, dosyć niepewne. W każdym razie trudno się n. p. spodziewać, aby grupa ludowców, najobfitsza w nieużytki i najmniej karna, zmniejszyła się liczebnie. A to z tej prostej przyczyny, że ludowcy zdobyli w roku 1907 w dwunastu (z pośród ośmnastu) dwumandatowych okręgach wiejskich na zacho-

chodzie mandaty 50-procentowe, a w niektórych nadto i mandat 25-procentowy. Otóż obecnie, gdyby nawet rzeczywiście stracili wiele głosów, zdobędą w najgorszym razie zamiast 50-procentowych 25-procentowe mandaty w niektórych z pośród tych okręgów. Mogliby stracić tam gdzie mają oba mandaty. Ale znowu zważyć należy, że w roku 1907 mieli oni wszystkich przeciw sobie, a teraz zanosi się na kompromis wyborczy konserwatystów krakowskich z ludowcami, którzy sobie zapewne chcą zabezpieczyć w tym kompromisie swój stan posiadania. Coprawda, kompromis ten nie będzie nawet w wiejskich okręgach zachodnich wszechwładny. Albowiem przeciw niemu odrazu stanie, jako przeciw blokowi ludowców z konserwatystami, porozumienie demokratów narodowych ze stojałowczykami i może z niektórymi t. zw. centrowcami. Wyniki są możliwe różne zarówno ze względu na ułatwienia jakie dają mandaty 25-procentowe, jakoteż ze względu na to, że ogromną wagę będzie miała mniej lub więcej udała agitacya w tych dwu miesiącach, które nas dzielą od wyborów. Co do zachodniej części kraju można jedynie przewidywać, że konserwatyści krakowscy będą się starali, przez kompromis z ludowcami na wsi, a z demokratami starymi w miastach, powiększyć liczbę dwóch czy trzech mandatów, które dotąd mieli, i to powiększyć pokaźnie. Na wschodzie stronnictwo demokratyczno-narodowe może napotkać w niektórych okręgach miejskich na trudności większe niż dotychczas ze strony innych kandydatów demokratycznych, popieranych może przez rząd krajowy, ale może niekoniecznie popieranych przez umiarkowane żywioły miejskie, a także w okręgach wiejskich wschodnio-galicyjskich trzy mandaty, które pierwotnie mieli ziemianie wschodnio-galicyjscy (Abrahamowicz Lwów, Obertyński Złoczów, Zagórski Skałat), dostali posłowie demokratyczno-narodowi tylko jako zastępcy, (Maślanka, Dębski, Bieniawski). Jednem słowem, podczas gdy w roku 1907 stronnictwu demokratyczno-narodowemu oddawano mandaty niemal bez oporu, teraz znajduje się ono w położeniu nieco trudniejszem.

W każdym razie nie w stosunku liczbowym stronnictw zapowiadają się zmiany, któreby zapewniły dużo lepszy niż dotąd skład Koła Polskiego.

Tem dobitniej podnieść należy drugi środek zaradczy, jedyny jaki pozostaje: konieczność zastąpienia posłów nieudolnych w każdej grupie posłami zdatnymi do pracy parlamentarnej.

Na pierwszem miejscu należy tu wymienić ludowców, których posłowie są, naogół biorąc, do niczego. Tacy posłowie jak pp. Madej, Siwula, Harnek, Jachowicz, Krempa, Ciągło, Mleczko, Bomba, J. Staniszewski, wreszcie Paduch także wybrany jako ludowiec, powinni zniknąć z Koła Polskiego. Stronnictwo ludowe ma już dzisiaj ludzi takich jak np. pp. Kędzior Stefczyk, Długosz, Mikołajski, Bardel, Wasung, których uczucia obywatelskie są niewątpliwe, i którzy nie na każdą politykę pójdą, tak że nawet zestawiać ich nie można z tamtymi posłami niezdolnymi umysłowo i moralnie do odpowiedzialności za to co robią w polityce. Takiej zmiany kraj musi i ma prawo żądać od stronnictwa ludowego, które zresztą samo na tem najlepiej wyjdzie. Jednem słowem należy zerwać z tem, czego już nawet Rusini nie robią, i nie wybierać chłopów, zupełnie bezradnych w Wiedniu. Oczywiście stosować się do tego muszą wszystkie stronnictwa i nie zwalczać się wzajemnie hasłem: chłopi wybierajcie chłopa. Stronnictwo konserwatywne krakowskie, które dotąd miało w Kole Polskiem właściwie tylko p. Korytowskiego i w pewnej mierze p. Górskiego, ma zamiar obok tych wybitnych posłów, przeprowadzić między innymi pp. Wł. L. Jaworskiego, I. Rosnera, prof. Halbana, a więc znowu ludzi, których poglądów politycznych można nie podzielać, ale którzy niewątpliwie będą rozumieli, co znaczy odpowiedzialność przed sądem dziejowym. Z pośród demokratów bezprzymiotnikowych wysuwa się na czoło kandydatura p. Lea, o której możnaby myśleć znacznie spokojniej, gdyby się miało przekonanie, że charakter p. Lea odpowiada jego zdolnościom. Stronnictwo demokratyczno-narodowe widzi zapewne, że w jego dotychczasowej grupie poselskiej, przeważają siły bardzo mierne, a ponieważ spokrewniona grupa ks. Stojałowskiego stanowi pod tym względem okoliczność bardzo obciążającą, spodziewać się należy, że i to stronnictwo zastąpi niektórych posłów dotychczasowych nowymi kandydatami. Ziemianie wschodnio-galicyjscy powinni zatrzymać w Wiedniu siłę nie do zastąpienia jaką jest p. Kozłowski, skłonić koniecznie do kandydowania p. Abrahamowicza, urodzonego polityka i niezrównanego parlamentarzystę, pomyśleć, jeżeli zamiar p. Starzyńskiego jest nieodwołalny, kto zdoła choćby w części zmniejszyć tę ogromną stratę, wreszcie znaleźć wśród siebie kilku dzielnych kandydatów na wiejskie okręgi polskie we wschodniej części kraju.

Lecz i to hasło: wprowadzenie do Koła Polskiego ludzi zdolnych i uczciwych, nie wystarczy dzisiaj krajowi.

Naczelnym sztandarem, pod którym od pół wieku wybierał kraj do Wiednia, była solidarność Koła Polskiego. Dzisiaj, niestety, sztandar ten mocno jest wyblakły i dotkliwie nadszarpany. Po zmianie statutu uchwalonej przy wstąpieniu ludowców, w kwietniu roku 1908, solidarność Koła Polskiego stała się igraszką w ręku niekarnych stronnictw, czczem słowem poprostu. Jeśli ma ona nabrać znowu dawnej, poważnej, historycznej, treści, musi być przeprowadzona ponowna zmiana statutu, streszczająca się w tych trzech żądaniach, przedłożonych już Kołu Sejmowemu: przywrócenie dawnego stanowiska prezesa w pertraktacyach z rządem i ze stronnictwami, zniesienie klucza partyjnego w wyborach do komisyi parlamentarnych, ograniczenie do liczbowego minimum prawa opuszczania sali w czasie głosowania. Tylko pod tymi warunkami Koło Polskie odzyska dawną spoistość, wpływ u rządu, znaczenie w parlamencie. Bez tego wlec się będzie dalej nędza ostatnich lat trzech i schodzić będziemy coraz niżej. Hasło solidarności Koła Polskiego, takiej jaka była w tych latach ostatnich, nikogo nie porwie

i tylko uśmiech szyderstwa wywoła. O tem pomyśleć powinna dzisiaj naczelna organizacya wyborcza: Rada Narodowa. Jeśli Rada Narodowa uchwali rezolucyę, wzywającą przyszłe Koło Polskie do przeprowadzenia tej naprawy statutu, jeśli jej kandydaci pod tak pojętem hasłem solidarności narodowej kandydować będą, będzie to uchwała, wiążąca wszystkie grupy, które wejdą do Koła Polskiego, a dla kraju będzie ona zadatkiem zmiany na lepsze, jasnem, silnem i pokrzepiającem hasłem wyborczem w trudnej walce, która nas czeka.

Szeptycki-Palmieri-Rosya.

D. 10. kwietnia b. r. wydany został urzędowy komunikat rosyjski w sprawie wydalenia z Rosyi ks. Feliksa Wiercińskiego, poddanego niemieckiego (zniemczonego Ślązaka z zakonu OO. Jezuitów, przebywającego w Moskwie ze względu na tamtejszą ludność katolicką niemiecką) oskarżonego o szerzenie katolicyzmu i unii w Rosyi, nadto w sprawie równoczesnesnego wydalenia p. Karola Indricha, poddanego austryackiego, oskarżonego o współdziałanie z ks. Wiercińskim, wreszcie w sprawie ks. Wasilewskiego, dziekana rzymsko-katolickiej parafii św. Piotra i Pawła w Moskwie, oskarżonego o szerzenie ducha polskiego w kościele, za co rząd zażądał natychmiastowego usunięcia go przez metropolitę rzymsko-katolickiego w Rosyi, któremu ks. Wasilewski podlega.

Komunikat ten jest pierwszorzędnym dokumentem w sprawie ruchu Palmieri-Szeptycki (por. *Rzplta* nr. 45 str. 1—4, nr. 46 str. 23—4, nr. 48 str. 47—9).

Rząd rosyjski występuje przeciw dwu różnym zjawiskom: 1. przeciw polskiemu kościołowi katolickiemu, 2. przeciw szerzeniu katolicyzmu i unii w Rosyi wogóle.

Do sprawy t. zw. polonizowania przez kościół należą następujące zarządzenia. Ponieważ śledztwo w rzymsko-katolickiej parafii św. Piotra i Pawła w Moskwie stwierdziło, „ogłaszanie sprawozdań miesięcznych w j. polskiem, przyłączanie do katolicyzmu niepełnoletnich prawosławnych, odklejanie od dokumentów zużytych marek stemplowych i zaniechanie od r. 1905 wygłaszania przez księży rzymsko-katolickich i śpiewania przez parafian ustępu o Najj. Panu", więc postanowiono, że dziekan ks. Wasilewski ma być usunięty od wszelkich urzędów kościelnych. Ponieważ w przytułku we wsi Bogorodzku, należącej do moskiewskiego Tow. pomocy biednym wyzn. rzymsko-katolickiego, stwierdzono, że „wywieszone są tam portrety królów polskich, herby Polski i Litwy i portrety działaczy polskich, niema zaś ani jednego portretu Najj. Pana i wogóle portretu lub obrazu, przypominającego czemkolwiek dzieciom o Rosyi, a wychowujące się tu dzieci Litwinów podlegają polonizacyi", więc minister kazał zamknąć ten przytułek i wogóle odebrać ustawie tego Towarzystwa prawo utrzymywania przytułków, ochronek, szkół i pensyonatów. Nadto stwierdza komunikat, że „w sprawie otrzymywanych przez departament do spraw duchownych skarg Litwinów na ucisk narodowy ze strony duchowieństwa rzymsko-katolickiego, śledztwo stwierdziło wnoszenie w sprawy religijne i kościelne pierwiastków narodowo-politycznych ze szkodą dla potrzeb duchowych katolików nie-Polaków, a zwłaszcza Litwinów i okoliczność ta zwróciła specyalną uwagę ministerstwa".

Jednem słowem: wypędza się księży polskich, zamyka się rzymsko-katolickie i polskie przytułki, ochronki, szkoły i pensyonaty, odpędza się księży polskich od ludności litewskiej i innej, ponieważ księża polscy krzewią patryotyzm i polonizują.

A teraz pytamy: kto to najgłośniej i najwytrwalej podnosił w ostatnich czasach te zarzuty o patryotyzm i polonizowanie przeciw księżom polskim?

O. Aureliusz Palmieri, autor dzieła *La Chiesa Russa*, autor ciągle nowych artykułów i broszur na temat *Mohlianismus et Panpolonismus* przeciw patryotyzmowi księży polskich, działający w ścisłem porozumieniu z ks. metropolitą Andrzejem Szeptyckim.

Nawskróś w duchu tych oskarżeń O. Palmieri'ego poszli dwaj niby nawróceni popi, księża uniccy Mikołaj Tołstoj i Michał Storożew, podający się za gorących zwolenników ruchu na rzecz unii kościołów, kierowanego od lat kilku przez O. Palmieri'ego i ks. metr. Szeptyckiego. I oto dzisiaj urzędowy kościelny biuletyn, *Correspodance de Rome* stwierdza, że dwaj ci księża uniccy, dawniej popi, „zadenuncyowali swoich współbraci (tj. ks Wasilewskiego, ks. Wiercińskiego i t. d.) przed policyą i prasą prawosławną, czem wywołali prześladowanie przeciw katolickiemu duchowieństwu... dlategoteż należy spodziewać się wrogich prześladowań, za które odpowiedzialność spada na tych dwóch dawnych popów, którzy na to się zjawili, aby wprowadzić zamieszanie i zbezcześcić kościół katolicki, a teraz krwawe łzy mu wytoczą". Artykuły Storożewa w *Nowoje Wremia* przeciw ks. Wasilewskiemu i innym są wiernem echem poglądów i oskarżeń O. Palmieri'ego przeciw patryotyzmowi księży polskich. Hasło O. Palmieri'ego o „panpolonizmie w katolicyźmie" służy dzisiaj za tytuł artykułów w *Nowoje Wremia*: „Katolicyzm wszechpolski".

Straszniej jednak aniżeli denuncyacye Tołstoja i Storożewa, uważanych obecnie za obłudników i odstępców, obciążają ruch Palmieri-Szeptycki zeznania wydalonego ks. Wiercińskiego. Mianowicie, wedle komunikatu urzędowego „ks. Feliks Wierciński, pozostający jak oświadczył osobiście, w bliskich stosunkach z lwowskim metropolitą unickim ks. Szeptyckim", zeznał w śledztwie, że przebywał w Rosyi nie tylko „dla uregulowania życia religijnego i organizacyi zarządu kościelnego katolików obrządku wschodniego" t. j. dla spraw unii i obrządku unickiego, ale także „dla prowadzenia walki z polonizmem w kościele i z polonizacyą katolików pochodzenia niepolskiego".

Tak więc jeden z głównych przedstawicieli i wykonawców ruchu, kierowanego przez ks. metropolitę Szeptyckiego i O. Palmieri'ego stwierdza, że jednym z celów tego ruchu była walka z polonizmem w kościele, walka z księżmi polskimi.

Drugą sprawą, którą zajmował się ks. Wierciński i p. Karol Indrich i za którą zostali oni wydaleni, było szerzenie unii. Mianowicie komunikat urzędowy twierdzi: „ks. Wierciński, pozostający, jak oświadczył osobiście, w blizkich stosunkach z lwowskim metropolitą unickim ks. Szeptyckim, posyłał, jak sam się przyznał, staroobrzędowców do Lwowa dla przygotowania ich na księży unickich. Wbrew ustawie przyjeżdżali do Rosyi Jezuici, przyjeżdżał i ks. metropolita Szeptycki. Stwierdzono na podstawie dowodów, że osoba, zbliżona do metropolity, komunikowała się z księżmi katockimi obrządku wschodniego w Rosyi, zaznaczając, że sprawa misyi spoczywa w ręku ks. Wiercińskiego". Dodać trzeba, że odmiennie od komunikatu rządowego *Russkija Wiedomosti* donoszą, iż „Tołstoj i Storożew skarżyli się, że ks. Wierciński unitów rosyjskich, wbrew rozporządzeniu papieża, nawraca na katolicyzm", a tę wersyę przyjmuje także z zapałem lwowskie *Diło* (nr. 80. z 11. b. m. str. 5), ujmując się za dwoma denuncyantami, potępionymi przez Rzym. Zestawiając te wiadomości można sądzić, że ks. Wierciński dbał i o unię i o łaciński obrządek, co było solą w oku owych dwu denuncyantów, którzy chcieli tylko unii, podobnie jak O. Palmieri i ks. metropolita Szeptycki. W każdym razie i propagandę katolicyzmu łacińskiego i propagandę unii rząd zwalcza bezwzględnie... mimo jej walki z polonizmem, którą rząd woli wziąć na siebie.

I oto są prawdziwe wyniki ruchu kierowanego przez O. Palmieri'ego i ks. metropolitę Szeptyckiego.

Unii w Rosyi nie rozszerzyli i nie rozszerzą, bo na to im rząd bezwzględnie nie pozwoli.

Ale za to druga strona ich działalności, wyrażająca się w haśle „walki z polonizmem w kościele i z polonizacyą katolików pochodzenia niepolskiego (na Litwie, w Chełmskiem, na Rusi)" powiodła się znakomicie. Oni to hasło rzucili i ciągle ożywiali. Znane jest ono ks. Wiercińskiemu i przezeń stwierdzone. U innych, u księży unickich Tołstoja i Storożewa, doprowadziło ono do prostych denuncyacyi. Wreszcie zajęła się tem prasa rosyjska i rząd rosyjski. I oto są wyniki: księża polscy usuwani, przytułki, ochronki i szkoły katolickie zamykane, utrzymywanie (bo nie szerzenie) katolicyzmu w Rosyi utrudnione.

Włodzimierz Antonowicz.

(Zarys jego działalności społeczno-politycznej i historycznej).

VII.

Szlachta na Rusi.

Przejdźmy teraz do następnych prac Antonowicza w porządku chronologicznym, mając przedewstkiem na względzie te, które bezpośrednio odnoszą się do czasów Rzptej polskiej i służą do obrony niejako zasadniczych jego też historycznych. Z tego punktu wychodząc, wypadnie nam mówić o pochodzeniu rodzin szlacheckich na Rusi[1]).

[1]) Archiw. J. Z. R. Część IV. Akty o pochodzeniu szlacheckich rodów w J. Z. R. T. I. Kijów 1867.

Do tomu tego napisał przedmowę prezes komisyi archeograficznej Michał Józefowicz, który uczuwszy się patryotą ruskim w cichości zmodyfikował swoje imię i równie jak Imć Pan Hruszewskij, przezwał się Michajłem. W r. 1846, gdy złożył rządowi rosyjskiemu program Cyryla i Metodego, był szczerym Rosyaninem; w r. 1861. „cieszył się" i „dziękował" rządowi za wprowadzenie do szkół języka polskiego, a teraz, gdy zgniecone przy pomocy chłopów powstanie 1863 r. na Rusi dowiodło, o ile Rusini są w państwie elementem nie tyle wierno-poddańczym ile bezbrzeżnie ciemnym i politycznie bezbarwnym, a rząd pozwolił im rozhukać się przeciwko Polakom, — Józefowicz mógł już pisać przedmowy do wydawnictw Antonowicza, zabarwione urzędowym patryotyzmem. Tembardziej przychodziło mu to z łatwością, że poglądy jego historyozoficzne były tylko parafrazą dociekań i tez głównego redaktora Archiwum połud. Rosyi.

Do r. 1863 prawie nie było własności ziemskiej rosyjskiej w połud.-zachodnich prowincyach Rosyi. Tu i ówdzie tylko były latifundia Rosyan. Nic dziwnego przeto, że szlachta, korzystając z praw i przywilejów dawnych, posiadająca, jako stan, własną autonomię do pewnego stopnia, była, wobec drobnej gromady urzędników rosyjskich i wobec ludu zależnego poddańczo od szlachty wogóle, bez względu na narodowość, warstwą najsilniejszą ekonomicznie, kulturalnie i liczebnie. Rząd musiał się z nią liczyć, bo jeszcze prawa wyjątkowe nie istniały. Po r. 1863 stosunek pod każdym względem zmienił się. Poczęto ją niszczyć materyalnie i moralnie. Trzeba było prawo do bezprawia na czemś oprzeć, podkopać znaczenie historyczne tej szlachty, dowieść, że ona właśnie polską nie jest, że dla niej zatem, jako polskiej, przyszłości niema. Tezę tę należało tylko ująć, sformułować, obronić ją niejako publicznie, ażeby jednym dodać odwagi do odstępstwa, drugich upokorzyć i rzucić w duszę zarazek rozkładu, obojętności, zwątpienia.

I oto Antonowicz odstępuje od swego planu — zbadania głównych momentów życia kozaczyzny, — a daje natomiast tom aktów, dotyczący pochodzenia rodów szlacheckich na Rusi. Odważny już teraz Imć Pan Michajło Józefowicz nie waha się wystąpić w roli historyka. „Akty te — pisał — dowodzą, że z całej masy szlacheckiej na Rusi, zaledwie dziesiąta część jest Polaków prawdziwych (koriennych) reszta zaś rodów jest rosyjskiego pochodzenia (russkawo proischożdienia) „spolaczonych" i „skatoliczonych". „Fakt ten, według Józefowicza, najlepiej określa znaczenie t. zw. kwestyi polskiej na Rusi, która, nawiasem powiedziawszy, i w całej Polsce nie jest kwestyą polską, lecz tylko szachecką, a wiadomo, że szlachta nie tylko nie jest narodem, ale była i jest jego zaprzeczeniem". Trudno domyśleć się jak to „zaprzeczenie" zrozumieli wydawcy, dość że postawili tezę, że „najpotężniejsze elementy Rzpltej wytworzyły się z rosyjskiej szlachty". Chaos prawdziwy. Do XVI i XVII w., do państwa polskiego, w okresie kiedy nie istniała jeszcze Rosya, tylko Wielkie Księstwo Moskiewskie, zastosowano nomen-

klaturę nawożytną, tworząc w ten sposób jednem pociągnięciem pióra „szlachtę rosyjską“ tam gdzie ona nigdy nie istniała. Toteż galimatias powstaje wskutek tego, że wydawcom nie wolno używać innej nomenklatury. Należy się tylko domyśleć, że może tu być mowa o szlachcie ruskiej, ale i ta do Unii Lubelskiej prawie nie istniała, a dopiero z bojarstwa poczęła się przetwarzać na szlachtę polską. Prawda historyczna przedstawiała się wydawcom bardzo jednostronnie i w świetle polityki Rosyi względem Polaków. Dlatego też Michajło Józefowicz otwarcie mówił że „lepiej jest porzucić cudzą i umarłą ojczyznę (Polskę), a wrócić do ojczyzny żywej (Rosyi)“. Te same rady dawał Antonowicz w „Spowiedzi“ przed pięciu laty, ale nikt jego śladem nie poszedł. Równie głuche było nawoływanie i teraz. Pamiętano słowa „Spowiedzi“: „trzeba wiedzieć co człowiek porzuca i do czego wraca“. Polska na powrozie nikogo do siebie nie wiodła.

Na poparcie tezy o rosyjskiem czy ruskiem — bo tego nie wyjaśnili — pochodzeniu szlachty kresowej, Antonowicz ułożył spis szlachty „południowo-zachodniej“, z wykazaniem czasu, kiedy zmieniła religię grecką na rzymsko-katolicką. Podstawą przeto do oznaczenia narodowości uznał religię. I o to, przyjąwszy zupełnie fałszywy punkt wyjścia, na tej podstawie budowano cały gmach o pochodzeniu szlachty polskiej na Rusi. Należałoby przedewszystkiem uwzględnić, że do Rusi, należącej już nietylko do Rzpltej, jak powiedzieliśmy, ale począwszy od Rurykowiczów, religia chrześcijańska szła dwiema drogami — od granicy zachodniej przez Polskę i od wschodu, od Carogrodu. Obie te drogi krzyżowały się na dzisiejszym Wołyniu, częściowo na Litwie — a właściwie Białej Rusi. — i na Rusi Czerwonej. W chwili gdy chrześcijanizm szerzył się, nie było walk religijnych, a tembardziej narodowych w naszem dzisiejszem pojęciu; każdy przeto wyznawał taką religię jaką wypadek wyznawać mu pozwolił i modlił się w tym języku w jakim kapłan przemawiał do niego. Ale to nie było jeszcze żadną cechą narodową. Mieliśmy w Polsce aryanów, protestantów, luteranów, którzy gorąco upominali się i walczyli o wolność wyznania, nie brakło nawet Tatarów, ale to nie przeszkadzało im uważać się za Polaków.

Polacy wschodniego obrządku na Białej Rusi i Wołyniu przyłączali się do jedności z kościołem rzymsko-katolickim dobrowolnie, a nawet wtenczas kiedy wyznawali grecki obrządek nie przestawali być Polakami, obywatelami Rzpltej, używającymi wszelkich praw i wolności. Kiedy za Zygmunta III. wkradła się do Polski wraz z Jezuitami nietolerancya religijna, kiedy walki religijne poczęły być groźne pokojowi Rzpltej, słynny Dyplom ruskiego narodu. wydany przez Władysława IV. 14. marca 1633, wrócił „wolne odprawowanie uchożnictwa“ i walkę zażegnał. Punkta uspokojenia obywatelów koronnych i W. X. Litewskiego narodu ruskiego, w religii greckiej będących, podpisali nie tylko wyznawcy obrządku wschodniego, lecz wielu bardzo rdzennych Polaków, gdyż im chodziło o spokój w państwie. Nie przeszkadza to ruskim i rosyjskim historykom tych wszystkich zaliczać do Rosyan czy Rusinów [1]).

Jeżeli tedy Antonowicz, przy dobrem szukaniu, zaledwie siedmset nazwisk wynalazł, którzy przeszli na obrządek łaciński, a może także „wrócili“ tylko, — „z tej ilości należałoby znaczną część wydzielić, jako rody niezaprzeczalnie polskie szlacheckie, to znalazłoby się co najmniej dwa razy tyle szlachty na Rusi rdzennie polskiej. Antonowicz nie zwrócił uwagi na to, że po Ruinie, po pokoju Korłowickim i Pruckim, rozpoczęła się ponownie kolonizacya stepów; że starostowie, dzierżawcy, ich urzędnicy, osadczowie byli wyłącznie Polacy, a co do Podola i Rusi Czerwonej, Otwinowski wręcz powiada, że „Mazurowie successu temporis w Ruś się przeobrażali“. Teza zatem Antonowicza nie miała historycznego znaczenia, nie oparła się na rzeczywistości, była raczej złośliwie wysuniętą bronią w walce z polskością, chęcią osłabienia najsilniejszego wówczas elementu na Rusi — szlachectwa, chęcią rzucenia w jej łono nowej żagwi.

W tymsamym tomie Antonowicz poświęcił krytyczne studyum t. z. szlachcie okolicznej i rozjaśnił poniekąd zagadkowe jej pochodzenie, chociaż i tutaj nie mógł uchronić się od wylania żółci na polski naród. Na Rusi, prawie do Unii Lubelskiej nie było szlachty. W okresie panowania Litwy istniały jeszcze resztki urządzeń z okresu panowania Rurykowiczów, resztki współczesnego im ustroju państwowego. Istniała przeto klasa uprzywilejowana, do szlachty zbliżona — bojarowie, warstwa przeważnie wojenna, otaczająca kniazia, stanowiąca część jego „drużyny“. Starożytne bojarstwo wielkoksiążęcej epoki już za czasów litewskiego panowania poczęło się przeobrażać. Dawniej wojna była tylko środkiem do życia, teraz poczęto szukać coraz bardziej i częściej tych środków w ziemi. Bojarowie poczęli osiadać na ziemi jako słudzy, otrzymywali ziemię „za wysługę“ — za „służbę“ wojenną i z obowiązkiem pełnienia jej w razie potrzeby. Bojar w ten sposób stawał się ziemianinem, ubożsi spadali do kategoryi sług ordyńskich, pełniących t. z. powinność jesaczną czyli obowiązani byli odbywać straż

[1]) Z. L. Radzimiński w odpowiedzi posłowi wołyńskiemi Szulginowi, który o tensam temat potrącił, wzywając „do powrotu“ tych, którzy się jakoby od Rosyi „oderwali“, zadał sobie trud skonstatowania narodowości szlachty na „Punktach uspokojenia obywatelów“ podpisanej. „Niezaprzeczalnymi — powiada — Polakami i katolikami w szeregu tych ziemian byli: Hieronim z Charlęża Charlęski, starosta łucki, ktorego ród pochodził z Lubelskiego; Kazimierz Ostroróg z pochodzenia Wielkopolanin; Adam z Witowic Czerny, ród krakowski; Piotr z Lubienia Lubieniecki, ród lubelski; Kossakowscy: Jan, Kizimierz, Piotr, Konstanty, Remigian i Henryk, z pochodzenia Łomżanie; Gabryel Drużbic, Wojciech i Stanisław Szydłowscy, rody mazowieckie; Bernard Kierznowski i Heliasz, Jerzy, Stanisław i Paweł Jeniczowie, z pochodzenia Litwini; wreszcie Olbrych Kochanowski z Mazowsza, Piotr z Bibersteinu Kazimierski z Krakowskiego; Wojciech Rylski chociaż pisarz grodzki kijowski, ale ród jego szedł z pod Rawy — dodałbym tu jeszcze trzech Wojciechów: Łąckiego, Wysockiego i Młożewskiego, a dobrze przeszukawszy, możeby się jeszcze jakich parę przybyszów z Korony tu odnalazło“.

na tatarskich szlakach, inni jeszcze stawali się po prostu sługami zamkowymi, putnymi, obowiązanymi do asystowania posłom w podróży. Takiem drobnem bojarstwem osadzone były wsie całe, liczne do dziś dnia, na Polesiu Wołyńskiem; siedzieli oni na swoich płachciach ziemi. Po Unii Lubelskiej, przy innem zorganizowaniu systemu obrony państwowej, poczęto takie drobne bojarstwo pociągać do robót zamkowych. Stąd procesy. Na dowód szlachectwa złożyli oni swoje nadania na „służby" lub „na wysługę" i na mocy praw istniejących uznani zostali za szlachtę dopiero w chwili rozbioru Rzpltej. Pozostał im tylko tytuł, gdyż rząd rosyjski większość ich zaliczył do czynszowej szlachty. I tak przy ubóstwie swojem pozostali aż dotychczas.

Antonowicz, zapoznawszy czytelników z genezą i życiem tej szlachty, nie mógł się powstrzymać, ażeby nie dać rządowi rosyjskiemu rady jak ma tę szlachtę na swoją korzyść zużytkować. „Ludność ta — powiada — czysto rosyjska, według wiary, języka i poczucia narodowego. Można mieć nadzieję że przy większem oświeceniu stanie się rozsadnikiem, z którego wyjdą liczne rzesze pracowników dla wrócenia krajowi naszemu pełni rosyjskiego życia. Szlachta okoliczna mogłaby u nas zająć takie położenie jakie zajmowała drobna polska szlachta, której usunięcie przyczyniłoby się nie mało do wykorzenienia obecnie silnie rozwiniętego polonizmu" [1]).

Rady te i nadzieje Antonowicza nie ziściły się dotychczas. Może „polonizm" za głęboko wżarł się w schłopiałe dziś dusze i nie mogą sobie przyswoić „legend historycznych" obcych im dotychczas.

(D. c. n.). *Fr. Rawita-Gawroński.*

P. Jerzy Moszyński o Rydzynie.

W nr. 50 *Rzptej* z d. 18. marca b. r. zamieszczone zostało w dziale wiadomości politycznych p. t. „Głosy w sprawie rydzyńskiej" sprawozdanie o kilku wystąpieniach, świadczących że nie wszyscy u nas podzielają błogi pogląd krakowskiej Rady miejskiej, która orzekła, że prawa rządu pruskiego do Rydzyny były nie do zwyciężenia a pp. Wodnicki, Potocki i Loewenstein nic zrobić nie mogli i niczem nie zawinili. Przytoczyliśmy tam wystąpienia następujące: *Biblioteki Warszawskiej*, która raz jeszcze zaznaczyła, że „wszak implicite fakt opłaty (4 milionów marek) świadczy o istnieniu jakichś praw, których zrzeczenie opłacić należało", dalej subkomitetu wybranego przez petersburskie Koło Polskie, który postanowił nie zadowolić się podpisaniem tego co mówi o sprawie rydzyńskiej p. Loewenstein, jak to uczyniła krakowska Rada miejska, lecz ogłosić wezwanie do wszystkich osób mających w tej sprawie jakieś dowody lub poglądy, wreszcie p. Jerzego Moszyńskiego,

Ustęp dotyczący głosu p. Jerzego Moszyńskiego brzmiał w całości jak następuje:

„Godne uwagi jest także zdanie wypowiedziane w częstochowskiej *Myśli Katolickiej* przez p. Jerzego Moszyńskiego. Wziął on się do rzeczy w sposób wcale zgrabny. Nasamprzód z wielkim rozmachem oburza się na „pogonkę przeciw tym panom, która wychodziła z brudnego źródła", pisze o „całym steku kalumnii roznoszonych po trzech dzielnicach Polski" i w ten sposób osładza swym znajomym pigułkę, którą sam przygotowuje. Bo oto za chwilę okazuje się, że i p. Jerzego Moszyńskiego, który jest prawnikiem, a nadto ma dużo otarcia zarówno o historyę jak i o politykę, aż podnoszą te wszystkie głupstwa i wykręty, któremi się tych panów zasłania. Stwierdziwszy w bardzo dobrym wywodzie, że rząd pruski nie miał stanowczo żadnych praw do ordynacyi, pisze:

„Drwi sobie rząd pruski tem bezczelniej z wszelkiej logiki prawniczej, gdy śmie się powoływać na taką prawniczą potworność, jak deklaracya zrobiona w r. 1892 przez Ordynata, mocą której uznawał on prowincyonalne kollegium szkolne w Poznaniu, jako prawnego następcę Komisyi Edukacyi Narodowej, jak gdyby Ordynatowi mogło przysługiwać prawo autentycznego interpretowania aktu fundacyjnego i wskrzeszania praw Rzeczypospolitej do Ordynacyi, które stanowczo zgasły wraz z nią w 1795 roku. Wiedział o tem wybornie rząd pruski, bo chyba bez tego przeświadczenia nie byłby panom Potockiemu i Wodzickiemu zaofiarował 4,250.000 marek za ich prawa do Rydzyny, co razem z ciążącym na niej długiem 2,000.000 marek stanowi 6,250.000 marek za 8.000 hektarów, czyli po 7.812 marek za hektar, co może nawet, zważywszy na gatunek gruntu i obszar majątku, nie jest znowu ceną tak niską. Można się więc zapytać, dlaczego panowie ci, mając tak pewne prawo za sobą, przystali na układ, zamiast dochodzić praw swoich procesem? Odpowiedzi na to trzeba, mojem zdaniem, szukać w pewnego rodzaju suggestyi, którą rząd pruski wywierał na umysły"...

Otóż, kiedy p. J. Moszyński powiada, że rząd pruski „drwi sobie bezczelnie z wszelkiej logiki prawniczej", powołując się na deklaracyę z r 1892, znaczy to równocześnie, że drwi sobie z niej bezczelnie także orzeczenie krakowskie, które całe zbudowane jest na powoływaniu się na tę „potworność prawniczą", nazywając ją „czarną chwilą" i przenosząc na nią, a nie na układ pp. Wodzickiego i Potockiego z rządem, cały ciężar sprawy. Układ z rządem określa p. Moszyński najwyraźniej jako sprzedaż praw do Rydzyny za „cenę, która nie jest znowu tak niską". A postępowanie tych panów wyjaśnia... suggestyą. Może się spotkać z ich strony z pytaniem: to Pan przeszło cztery miliony marek nazywa... suggestyą?".

Jednem słowem, p. Jerzy Moszyński z jednej strony doskonale wie i wykazuje, że rząd pruski nie miał żadnych praw do Rydzyny i chcąc ją mieć, musiał za to zapłacić, a z drugiej strony usprawiedliwia pp. Wodzickiego i Potockiego wraz z p. Loewensteinem tem, że... sprzedając swe prawa za cztery miliony, ulegali oni... suggestyi.

W obronie tego poglądu przysyła obecnie p. Jerzy Moszyński pismu naszemu obszerny list zamieszczony poniżej w całości. Moglibyśmy, co prawda, odesłać list ten p. Jerzemu Moszyńskiemu i zupełnie go nie zamieszczać. Zawiera on bowiem takie zarzuty przeciw *Rzpltej* jak „rozmyślne wprowadzanie w błąd opinii publicznej", albo „zboczenia z prostej drogi prowadzącej do prawdy", mówi, że *Rzplta* „nie wiele sobie robi ceremonii z logiką", albo też, że „nie gardzi żadnym środkiem, żadną chociażby najniedorzeczniejszą insynuacyą". Atoli

[1]) Autor tego szkicu miał sposobność osobiście zapoznać się z wsiami „okolicznemi" i poznania tych siermiężnych szlachciców. Przekonałem się, że nie mają innych legend rodzinnych i historycznych, jak tylko polskie, po rosyjsku nie mówią wcale; w domu używają języka ruskiego, ale starsze pokolenie mówi dobrze po polsku, rozumie wartość polskiego szlachectwa a dyplomy królów polskich przechowuje jak relikwie. Pamiętają o tem że byli unitami i że rząd rosyjski sprowadził im popów i nakazał chodzić do cerkwi prawosławnych.

podobno tylko w domu powieszonego niechętnie się słucha o postronku. Dla *Rzpltej*, która co do sumienności i prawdomówności stawia sobie wymagania bardzo ustalone i bardzo nienaruszalne, zarzuty z tego zakresu nie są zgoła kłopotliwe. Zamieszczamy przeto wszystko co p. Jerzy Moszyński zechciał napisać, nie opuszczając ani słowa. A jeśli co chętnie byśmy przekreślili, to chyba słowa „z prawdziwym szacunkiem życzliwy sługa“ znajdujące się przed podpisem, bo po takich zarzutach, jak te które przytoczyliśmy powyżej, zarówno z szacunku jak i z życzliwości p. Jerzego Moszyńskiego najzupełniej musimy zrezygnować.

List p. Jerzego Moszyńskiego brzmi:

„Kraków 31. marca 1911. Do Szanownej Redakcyi *Rzeczypospolitej* w odpowiedzi na umieszczony w Nr. 50-tym artykuł p. t. „Głosy w sprawie Rydzyńskiej“.

Krytykę moich poglądów na sprawę rydzyńską można streścić w następujących trzech zdaniach, wyjętych z tego artykułu:

1. „Dzisiaj już wszyscy uczciwi ludzie w Polsce zdają sobie sprawę z tego, że orzeczenie Rady miasta Krakowa w sprawie rydzyńskiej, pełne rażących niedorzeczności i prostych wykrętów, rzuciło głęboki cień na dobre imię tej Rady i wysunęło pytanie: gdzież tam jakaś wiedza i powaga prawnicza, gdzież poczucie narodowe, gdzie zrozumienie, że takich spraw nie wolno załatwiać tak bardzo lekkomyślnie“.

2. „Otóż kiedy p. Jerzy Moszyński powiada, że rząd pruski drwi sobie bezczelnie z wszelkiej logiki prawniczej powołując się na deklaracyę z r. 1892, znaczy to równocześnie, że drwi sobie z niej bezczelnie także orzeczenie krakowskie, które całe zbudowane jest na powoływaniu się na tę „potworność prawniczą“, nazywając ją „czarną chwilą“ i przenosząc na nią, a nie na układ pp. Wodzickiego i Potockiego z rządem cały ciężar sprawy“.

3. „Układ z rządem określa p. Moszyński najwyraźniej jako sprzedaż praw do Rydzyny za cenę „która nie jest znowu tak niską“. A postępowanie tych panów wyjaśnia suggestyą. Może się spotkać z ich strony z pytaniem: to Pan przeszło cztery miliony marek nazywa suggestyą?“.

Nigdzie lepiej jak w tych trzech zdaniach nie wychodzi na jaw rozmyślne wprowadzanie w błąd opinii publicznej przez kojarzenie z sobą pojęć, nie mających żadnego istotnego logicznego związku. Sztuczne urabianie bezpodstawnej, a niesprawiedliwej opinii co do postąpienia hr. Antoniego Wodzickiego, hr. Henryka Potockiego i Rady miasta Krakowa doprowadziło *Rzeczpospolitą* do następujących zboczeń z prostej drogi, prowadzącej do prawdy.

Zupełnie bezpodstawnie przeinaczyła ona kompetencyę wysadzonej przez Radę miasta Krakowa komisyi, robiąc z niej jakoby sąd apelacyjny, mający orzekać w ostatniej instancyi o tem, kto jest rzeczywiście uprawnionym dziedzicem ordynacyi rydzyńskiej i jakie rzeczywiście prawa przysługiwały panom Potockiemu i Wodzickiemu; gdy tymczasem Rada miejska dała jej tylko zlecenie zbadania: czy członek Rady miejskiej hr. Antoni Wodzicki nie naruszył zajętem przez siebie w tej sprawie stanowiskiem obowiązków Polaka?

Na to chyba muszą się „dzisiaj zgodzić wszyscy uczciwi ludzie w Polsce“ że tak samo jak żadne prawo nie może obowiązywać wstecz, tak też żadnemu uczciwemu sędziemu, mającemu wydawać sąd o moralnej wartości pewnego czynu, nie wolno się powoływać na fakta i moralne pobudki, które były niedostępne dla podsądnego w chwili dokonania czynu. Komisya więc Rady miejskiej nie miała prawa brać pod uwagę innej zasady prawnej — chociażby ona była zupełnie błędną — jak tę, która była uważaną za podstawę prawną sprawy rydzyńskiej przez panów Antoniego Wodzickiego i Henryka Potockiego, oraz przez ich naukowych i prawnych doradców w chwili zrobienia układu z rządem. Zadaniem komisyi Rady miejskiej było też tylko zbadać, czy panowie ci nie zaniedbali niczego, co było potrzebnem do wyświetlenia podstawy prawnej, decydującej o losie ordynacyi rydzyńskiej i o ich prawach jako testamentowych spadkobierców ostatniego ordynata; a następnie czy poszli sumiennie za daną im radą i czy nie stanęli w poprzek interesom narodowym? Do odrzucenia więc podniesionych przeciwko hr. Wodzickiemu zarzutów wystarczało wybranej przez Radę miejską komisyi stwierdzić, że zrobił on wszystko, co było w jego mocy, by sprawa była należycie oświetloną ze stanowiska prawnego i moralnego i działał w dobrej wierze w myśl tego wyświetlenia. Otóż, jak wiemy, udał się on do znakomitych polskich prawników, do profesorów Balzera i Tilla, prowadzenie sprawy powierzył jednemu z najdzielniejszych adwokatów p. Loewensteinowi, a wreszcie zażądał opinii trzech zasłużonych około sprawy narodowej w Poznańskiem obywateli ziemskich, bo księcia Zdzisława Czartoryskiego, p. Kościelskiego i p. Mielżyńskiego i niczego nie uczynił, coby pod względem prawniczym lub narodowym stawało w sprzeczności z udzielonemi mu radami. Nie na niego zaś spada za to odpowiedzialność, że okazało się następnie, iż profesorowie Till i Balzer błędnie osądzili sytuacyę prawną i popchnęli przez to na fałszywe tory ostateczne rozwiązanie sprawy rydzyńskiej.

Kwintesencyą naukowego orzeczenia tych panów było, że nie Komisya Edukacyjna, ale państwo polskie, którego była ona organem, było w rzeczywistości sukceserom III rzędu, uprawnionym do następstwa w ordynacyi rydzyńskiej, o ile dopełni włożonego przez fundatora obowiązku wychowania za jej dochody szlacheckiej młodzieży poznańskiej w duchu narodowym. Że zaś państwo pruskie wstąpiło po rozbiorze Polski w prawa państwa polskiego, a więc ono staje się uprawnionym sukcesorem III rzędu ordynacyi, naturalnie, że z powyższem zastrzeżeniem. Konsekwencyą tego punktu widzenia było, że jedynym sposobem odebrania państwu pruskiemu praw do ordynacyi było wytoczenie mu procesu o niedopełnienie warunku wychowania w duchu patryotycznym młodzieży poznańskiej. A jakiż, nieledwie że nie jedynie możliwy, wynik takiego procesu? Oczywiście, że narażenie się na ogromne koszta dla przegrania go i oddania Rydzyny rządowi pruskiemu dla swobodnej germanizacyi młodzieży polskiej za polskie pieniądze. Boć niema chyba sądu pruskiego, któryby nie uznał, że narodowym duchem państwa pruskiego jest duch niemiecki. To też uznali to wszyscy prawni i moralni doradcy tych panów, że dla sprawy narodowej daleko jest korzystniejszem, jeżeli wskutek proponowanego układu przynajmniej 4,250.000 marek dostanie się do polskich rąk, aniżeli gdyby zarówno Rydzyna jak cała jej wartość dostała się w ręce rządu pruskiego. I dlatego doradzili oni przyjąć proponowany przez rząd pruski układ; a dodać tu wypada, że *Rzeczpospolita* która sama w n-rze 48-ym z r. b. uznała słuszność „prawno-historycznego stanowiska prof. Balzera“. najmniej ma prawa do krytykowania postępowania panów Wodzickiego i Potockiego, które — jak to wyżej wykazałem — było jedyną racyonalną konsekwencyą wskazanego przez niego prawniczego stanowiska. Co prawda, że *Rzeczpospolita* niewiele sobie robi ceremonii z logiką. Dość wspomnieć, że stwierdziwszy w nr. 48-ym na str. 43-ciej, że hrabiowie Wodzicki i Potocki nie byli wogóle „agnatami“ robi im jednak na str. 45-tej gorzkie za to wyrzuty „że ordynacya została rozwiązaną i zwolnioną z fundacyi na rzecz wychowania młodzieży narodowej“, zapominając o tem, że skoro nie byli oni agnatami, to też żadnego wpływu na istnienie ordynacyi wywierać nie mogli, a zyskali do Rydzyny prawo dopiero z chwilą gdy ta już raz na zawsze, bez ich przyczynienia się, przestała być ordynacyą, a stała się własnością allodyalną ostatniego ordynata.

A teraz zastanówmy się, na czem polegała suggestya rządu pruskiego? Naturalnie, że nie na cenie 4,250.000 marek, ofiarowanej polubownie panom Wodzickiemu i Potockiemu przez rząd pruski za Rydzynę; bo cena ta, chociaż może nie bardzo niska, ale też i nie tak wysoka, iżby miała zachwiać ich równowagę umysłową i skłonić ich do układów. Te przeszło cztery miliony marek były nie suggestyą, ale poprostu ceną transakcyi, a zwrócenie się do mnie z zapytaniem w kwestyi suggestyi dowodzi

tylko, że *Rzeczpospolita* nie gardzi żadnym środkiem, żadną chociażby najniedorzeczniejszą insynuacyą, byle tylko jak najgorsze wrażenie o charakterze i postępku tych panów wywołać u czytającej, ale nie umiejącej myśleć publiczności. Zapytując mię, czy przeszło cztery miliony uważam za suggestyę, pragnie widocznie szanowna Redakcya *Rzeczypospolitej* podsunąć czytelnikowi myśl, jakoby one nie były ceną transakcyi, ale rodzajem jakiejś łapówki za popełnienie jakiegoś haniebnego czynu na niekorzyść sprawy narodowej. A przecież mając taką praktykę w suggestyonowaniu, powinnaby ona zrozumieć z łatwością na czem polega istota suggestyi, której się dopuścił rząd pruski w tej sprawie, i to nie tyle na umysłach hrabiów Wodzickiego i Potockiego jak raczej na umysłach profesorów Balzera i Tilla.

W przewidywaniu bezdzietności ostatniego ordynata, postarał się mianowicie rząd pruski zawczasu o uchwały agnatów i wyroki sądowe, uznające go za prawego sukcesora praw do ordynacyi po komisyi edukacyjnej. Uchwały te były wprawdzie same w sobie bezwartościowe, ale wyroki fideikomisowych sądów pruskich, odsądzające agnatów II. rzędu od sukcesyi w ordynacyi i przysądzające to prawo państwu pruskiemu, dały im wszelkie pozory rzeczy zasądzonej stanowczo na korzyść tegoż. Następnie postarał się on o zdanie dwóch uczonych niemieckich jurystów, z których jeden uznał go za bezspornego sukcesora Komisyi Edukacyjnej, a drugi o tyle tylko, o ile dopełni obowiązku wychowania młodzieży poznańskiej na rzetelnych polskich patryotów. Jednem słowem, robił rząd pruski co mógł, żeby sprawę zagmatwać i tak ją przedstawić, że pomyślny wynik walki z jego uroszczeniami wydawał się do najwyższego stopnia wątpliwym. W ten sposób odwrócił on uwagę uczonych polskich profesorów od rzeczywistej podstawy prawnej tejże sprawy, która bez żadnej wątpliwości — jak to wykazałem w artykule umieszczonym przezemnie w *Myśli Katolickiej* z 28. lutego 1911 r. — nie zostawiała miejsca na żadne roszczenia rządu pruskiego do ordynacyi rydzyńskiej, ale nie z powodu niedopełnienia warunków, jak chciał profesor Balzer, ale z powodu, że wraz z państwem polskiem zgasła też III-rzędna substytucya fidei-komisowa, a wobec wymarcia powołanych I. rzędu, a utraty praw przez powołanych do ordynacyi agnatów II-go rzędu, Rydzyna przestała być ordynacyą, a panowie Antoni Wodzicki i Henryk Potocki jako testamentowi spadkobiercy księcia Antoniego Sułkowskiego stali się bezwarunkowymi jej właścicielami.

A cała ta suggestya udała się świetnie rządowi pruskiemu, skoro ani w prasie, ani w świecie, prawniczym, nie podniósł się przedemną ani jeden głos, któryby był poddał w wątpliwość zdanie profosorów Balzera i Tilla i wykazał zupełną bezpodstawność pruskich pretensyi. Największą zaś jest niesprawiedliwością rozciągać matactwa rządu pruskiego na Komisyę rady miasta Krakowa, która, jak to wyżej wykazałem, nie miała prawa opierać swoich orzeczeń na innej prawnej podstawie, jak na tej którą za pewnik naukowy uznali polscy uczeni podczas układów z rządem pruskim, a za których zdaniem poszli panowie Wodzicki i Potocki zawierając ów inkryminowany układ.

Z prawdziwym szacunkiem życzliwy sługa Jerzy Moszyński.

W liście swym p. Jerzy Moszyński (stojąc ciągle na tem stanowisku, że oddanie Rydzyny rządowi pruskiemu było potwornością prawniczą, ale że od pp. Wodzickiego, Potockiego i Loewensteina nie można wymagać, aby to byli widzieli) roztrząsa następujące sprawy:

1. Orzeczenie krakowskiej Rady miejskiej. W liście tym mieści się coś, jakby obrona tego orzeczenia, które *Rzplta* nazwała „pełnem rażących niedorzeczności i prostych wykrętów“. Jakich, to bardzo szczegółowo wykazane zostało w obszernym rozbiorze orzeczenia krakowskiego w nr. 48 z d. 18. lutego na str. 41—46. Mianowicie: gdy orzeczenie to nastrojowo przenosi cały nacisk, jako na „czarną chwilę“, na uchwałę rodzinną z d. 10. marca 1892, która jest prawnie nieważna, jest to niedorzeczność i wykręt; gdy publicznie twierdzi, że nawet przed bezstronnym trybunałem prawno-historyczne stanowisko polskie Balzera, broniącę intencyi fundatora, nie utrzymuje się wobec pruskiego stanowiska Wilmowskiego, gwałcącego intencye fundatora, jest to publiczne sponiewieranie wszelkiego prawa a nie tylko zwykła niedorzeczność; gdy zdanie trzech ludzie obleka w szumną nazwę autoryzacyi obywatelstwa poznańskiego, jest to znowu i niedorzeczność i wykręt; gdy prześlizguje się nad ciężkiemi słowami układu, oddającemi ordynacyę na wolną i nieograniczoną własność państwa pruskiego, jakby nad frazesem bez znaczenia, za mało powiedzieć, że to niedorzeczność i wykręt; gdy z poważną miną zapewnia, że świadczenia na rzecz rządu, o których układ wyraźnie mówi, są bajką bez realnej treści, i że przeszło cztery miliony zapłacono za nic, do szczytu dochodzi i niedorzeczność i wykręt; gdy nie chce widzieć udziału pp. Wodzickiego i Potockiego w uchwale rodzinnej, chociaż oni już naprzód brzmienie jej przyjęli i podpisali (a tylko przy samej już uchwale rodzinnej nie byli obecni, bo i nie mogli, nie będąc agnatami, co dodajemy dla wyjaśnienia „ceremonii z logiką“), jest to już nie niedorzeczność, ale tylko najzwyczajniejszy wykręt; gdy zapewnia o ostrzeganiu społeczeństwa i agnatów, chociaż są dowody, że przed nimi wszystko tajono, jest to znowu marny wykręt; gdy uważa za rzecz naturalną, że adwokat polskich twórców ugody zostaje zarazem adwokatem rządu pruskiego, jest to już nawet nie wykręt ale bezczelność. Oto treść orzeczenia krakowskiego. Chce go ktoś bronić? To niechaj, zamiast filozofować nad „moralnemi pobudkami które były niedostępne dla podsądnego“ (niezłe określenie), bierze te twierdzenia, jedno po drugiem, i wykazuje, że to nie są niedorzeczności i wykręty, że to jest rozumne i godziwe.

2. Zdania uczonych polskich. W liście p. Jerzego Moszyńskiego mieści się dalej coś bardzo śmiałego, mianowicie ni mniej ni więcej tylko próba przeniesienia odpowiedzialności za zaprzepaszczenie Rydzyny z pp. Wodzickiego, Potockiego i Loewensteina na uczonych polskich, których zdania oni zasięgali. Żadnej co do tego wątpliwości nie pozostawia zdanie: „Nie na niego (p. Wodzickiego) zaś spada za to odpowiedzialność, że okazało się następnie, iż profesorowie Till i Balzer błędnie osądzili sytuacyę prawną i popchnęli przez to na fałszywe tory ostateczne rozwiązanie sprawy rydzyńskiej“ oraz zdanie o suggestyi „nie tyle na umysłach hrabiów Wodzickiego i Potockiego jak raczej ne umysłach profesorów Balzera i Tilla“. W tych śmiałych oskarżeniach *Rplta* nie może towarzyszyć p. Jerzemu Moszyńskiemu, gdyż nie ma żadnych danych, któreby pozwoliły odpowiedzialność przenieść z układających się na uczonych. O ile bowiem sądzić można z tego, co się wie dotąd o sprawie, trzeba brać pod uwagę nie tylko to, co uczeni odpowiadali, ale także to, jakie wiadomości im podawano i jakie pytania zadawano. Np. prof. Balzer na pytanie czy Komisya Edukacyjna była korporacyą czy wła-

dzą państwową, odpowiedział, że była ona władzą państwową i że państwo pruskie może się uważać za jej następcę prawnego, ale dodał, że mimo to nie może ono sobie rościć praw do fundacyi, gdyż celu jej nie może wykonać w myśl intencyi fundatora. Otóż i to co prof. Balzer mówi o charakterze Komisyi Edukacyjnej i to co o intencyach fundatora, mogło być i może być uważane za słuszne, jako zasadnicze stanowisko prawno-historyczne. Ale wtedy należało szukać przepisu prawnego, paragrafu, któryby tej zasady intencyi fundatora bronił. *Rzplta* szukała i oto znalazł się prawnik, który wyjaśnił, że paragraf taki istnieje, bo Komisya Edukacyjna była tylko substytutem warunkowym, a wedle §§ 1923, 2074, 2108 i 2139 kodeksu cywilnego niemieckiego substytut musi sam (a nie jego następca prawny) dożyć chwili otwarcia się spadku (por. „Zdanie prawnicze o Rydzynie“ w nr. 50-tym *Rzpltej*). Natomiast pp. Wodzicki, Potocki i Loewenstein postępowali sobie w swoich poszukiwaniach zdań uczonych nieco inaczej. Mianowicie, uzyskawszy zdanie prof. Balzera, przeciwne rządowi pruskiemu, przeciwstawili mu, jak to naiwnie opowiada orzeczenie krakowskie, zdanie p. Wilmowskiego, przychylne rządowi pruskiemu, a potem, z temi dwoma zdaniami jako z „wynikiem badań prawniczych i historycznych“, zwrócili się do innych uczonych, pytając, czy proces, na tych podstawach prowadzony, może się powieść. Przerzucanie odpowiedzialności ze sprawców ugody, którzy kierowali pytaniami, na uczonych, którzy dawali odpowiedzi (co zapewne będzie wnet bliżej i dokładniej wyjaśnione niż wie się obecnie, a uczeni już sami najlepiej odeprzą zarzuty), uważać się przeto musi za niezmierną lekkomyślność.

3. Suggestya. Co do pp. Wodzickiego i Potockiego wraz z ich adwokatem p. Loewensteinem lub bez niego, bo to nie jest jasne, obstaje p. Jerzy Moszyński przy swojem wyjaśnieniu przez „suggestyę“. Ci biedacy mianowicie dali się obałamucić rządowi pruskiemu, nic nie wiedzieli o swoich prawach do Rydzyny i za tę nieświadomość... dostali przeszło cztery miliony. Jak wiadomo panowie ci zapewniają naodwrót mniej lub więcej poufnie, że oni „nic zrobić nie mogli“, a rząd pruski dał się im obałamucić, nic nie wiedział o swoich prawach do Rydzyny i za tę nieświadomość... dostał Rydzynę. Oba te objaśnienia za pomocą suggestyi są siebie warte. Ani rząd pruski nie jest taki naiwny, jak się mówi, ani też pp. Wodzicki i Loewenstein nie są tacy naiwni, jak się mówi. Biorąc się do takiej sprawy i mając wszystkie dane w ręku, a dużo czasu do namysłu, dzielni adwokaci stron obu zajrzeli chyba do dobrze sobie znanych, podręcznych, kodeksów, austryackiego i niemieckiego, co też one mówią np. o substytucyi, albo o innych rzeczach w grę tu wchodzących. Gdyby pp. Wodzicki i Potocki wraz z p. Loewensteinem nie wiedzieli, że ordynacya wygasa i staje się osobistą własnością ostatniego ordynata, to zapewne nie byłaby przyszła do skutku kombinacya, na podstawie której oni właśnie zostali, ni stąd ni zowąd, dziedzicami osobistymi ordynata, oraz nie byliby się wogóle zgłaszali ze swemi roszczeniami do Rydzyny. Gdyby rząd pruski nie wiedział, że panowie ci mają prawo do Rydzyny, nie byłby im dał przeszło czterech milionów marek. Obie strony wiedziały dobrze, że prawo jest po stronie dziedziców ostatniego ordynata, ale siła może być po stronie rządu i rzecz może się wlec długo. Więc powiedzieli sobie pp. Wodzicki i Potocki wraz z p. Loewensteinem, że lepszy wróbel w garści niż kanarek na dachu, puścili Rydzynę rządowi na wolną i nieograniczoną własność bez zobowiązań fundacyjnych, a wzięli cztery miliony marek. Tak wygląda suggestya, gdy ją brać uchwytnie.

Wiadomości polityczne.

Muzeum Narodowe w Rapperswilu.

W r. 1870 założył ś. p. Władysław Plater Muzeum polskie, które umieścił w Rapperswilu, małej miejscowości szwajcarskiej pod Zurychem, w pięknie położonym zamku, wydzierżawionym od gminy za niską opłatą na lat 99, a które darował Polsce aktem rejentalnym z d. 8. grudnia 1873. Znajduje się tam, poza władzą rządów zaborczych, bardzo cenna biblioteka druków i rękopisów, oraz zbiór pamiątek narodowych bardzo wartościowych i mniej wartościowych.

Zarząd Muzeum spoczywa w ręku Rady Muzealnej, złożonej głównie z emigrantów popowstaniowych oraz z kilku ludzi z kraju. Ściślejszy komitet opiekuńczy stanowi t. zw. delegacya paryska z pośród Rady wraz z jej prezesem, który jest dyrektorem Muzeum. Na miejscu zaś zarządza Muzeum kustosz, którym od lat kilkunastu jest emigrant p. Włodzimierz Rużycki.

Od początku r. b. podniosły się w prasie zarzuty przeciw kustoszowi, stwierdzające, że gospodarka jego jest zła. Dzisiaj zarzuty te zebrane zostały przez p. Stanisława Szpotańskiego w broszurce p. t. „Sprawa Rapperswilska“ (Kraków, str. 31). Po krótkim wstępie własnym p. Szpotański podaje tam listy p. Stefana Żeromskiego (bibliotekarza rapperswilskiego w latach 1892—1896). p. Feliksa Kopery, dyrektora Muzeum Narodowego w Krakowie i p. Władysława Kłyszewskiego (pomocnika bibliotekarza w Rapperswilu w latach 1908—1910). Listy te, są surowym aktem oskarżenia na kustosza Muzeum.

List Żeromskiego, najobszerniejszy i najwymowniejszy ze wszystkich, jest utworem pisarskim poprostu niezrównanym. Żeromski spokojnie, dokładnie, szczegółowo, opowiada, nic tylko opowiada. Opowiada jak to było z tą maszyną do rachowania sporządzoną przez jednego z emigrantów z r. 1831, którą chciano wydobyć na wystawę matematyczną w Monachium, niestety zapóźno: „Kustosz, zaciekawiony jak też tego rodzaju maszyna jest skomponowaną i pragnąc zapoznać się z jej wnętrzem, rozśrubował ją, rozkręcił zupełnie i, ponieważ była bardzo skomplikowana, nie mógł z powrotem złożyć... Dodał jednak, że on sam jest z zamiłowania mechanikiem i że cała ta sztuczka wydaje mu się być wierutnem głupstwem“. Opowiada jak razem z pp. Z. Wasilewskim i J. Domagalskim znalazł prześliczny zbiór

pierwszych odbitek wszystkich dzieł sławnego Antoniego Oleszczyńskiego: „Znaleźliśmy ją na strychu w stanie okropnym: była przygnieciona pakami z lakierem i smarami w taki sposób, że się rozpłaszczyła wpoprzek i raz na zawsze przełamała, a w głąb jej prześlicznych kart brystolowych, wypieszczonych przez artystę, lała się kaskada zastygłego lakieru czy smarowidła pana kustosza“. Do portretow i rycin, nawet najrzadszych stosował p. kustosz ścisłą krytykę historyczną, atramentem przez portret: „Takiej czapki nikt nigdy w Polsce nie nosił“, „Niepodobny“, „Zdrajca“ i t. d. A nieoceniony dla historyków ogromny zbiór Chodźki zawierający uporządkowane wycinki z pism zagranicznych o Polsce od 1825 do 1870, który poszedł do drwalni z dziurawym dachem i przepadły zupełnie te „papierska“! A model włościanina, który został Bartoszem Głowackim, dostał szlify oficerskie i pilnuje łóżka Kościuszki, a szwajcarska koszula Naczelnika, na której kustosz znalazł krew z pod Maciejowic, a różne laski emigranta Zienkowicza, które były naprzód „laską Tadeusza Kościuszki“, a potem: „kiedy i ciupaga została wyeliminowana z kościuszkowskiego zbioru metodą, że tak powiem, dyalektyczną, powędrowała na dół do zbiorów ogólnych, pozostających pod wyłączną władzą p. kustosza i tam zdegradowana została na stopień niższy: nazajutrz ujrzałem na niej napis: Laska Wincentego Pola“.

Także w liście dra Kopery są szczegóły jaskrawe: „Proszę wyobrazić sobie, co pomyśli o naszej nauce historyk sztuki, zwabiony np. nazwiskiem Stwosza, jeśli do Muzeum przyjedzie i pokażą mu tabakierkę roboty Wita Stwosza; znakomity uczony niemiecki Henryk Wölfflin wybierał się do Rapperswilu dlatego, aby dzieło Stwosza zobaczyć, proszę sobie przedstawić jakiego wyobrażenia ten człowiek nabrał o polskiej nauce, gdy mu pokazano tabakierkę z nieudolnemi płaskorzeźbami i napisem na wierzchu Wit Stwosz; tę tabakierkę mnie pokazywał także kustosz Muzeum. Pokazywał mi także fajkę o zwykłym motywie renesansowym, jakim dzisiejsze fabryki się posługują i twierdził, że to jest fajka Batorego, a kiedy, sądząc, że żartuje, uśmiechnąłem się, kustosz ostro mi odpowiedział: „To nie są żarty, tu był Węgier, który oświadczył mi, że zna współczesny portret Batorego z podobną fajką“.

Któż jest ten kustosz p. Rużycki, który pod piórem Żeromskiego urasta na jakąś postać niemal baśniową? Wszyscy, którzy go znają, także i ci, którzy nie mogą znieść jego gospodarki i najostrzej go zwalczają, zgodnie twierdzą, że człowiek to najuczciwszy w świecie. Mało powiedzieć bezinteresowny, bo on poprostu jak pustelnik tam żyje, a sobie odmawiając, za własny zaoszczędzony grosz kupuje... te laski, fajki, tabakiery, łata, skrobie, klei, sporządza zabytki i tem tylko żyje. Jednem słowem, dziwak. Niewątpliwie, dla Muzeum wyniki są smutne, najzupełniej niemożliwe do zniesienia. Ale, dalibóg, gdy się pomyśli, że ten człowiek tyle lat tam strażował z całem poświęceniem, a winy jego nie ze złej woli płyną ale z dziwacznego pojmowania swych zadań, niepodobna bez żalu myśleć o tem, że dzisiaj podany jest on w poniewierkę, podczas gdy niejeden spryciarz, który tylko o sobie myśli, śmiało kroczy z podniesioną głową.

Ale trudno, interes samego Muzeum i troska o powagę imienia naszego muszą być ważniejsze ponad wszelkie względy i zbiorom rapperswilskim musi być zapewniony umiejętny dozór.

Załatwienie tej sprawy należy do Rady Muzealnej.

Ale i na całą Radę Muzealną pojawiły się ostre napaści. Za rzecz pewną można uważać, że p. Szpotański, który jest poważnym pracownikiem naukowym, tak jak i autorowie listów przezeń ogłoszonych, mieli na oku względy rzeczowe: usunięcie tego co w Muzeum jest szkodliwe. Ale dla niektórych pism, szczególnie socyalistycznych, była to gratka nielada do ujadania na całą Radę Muzealną, do której należą przeważnie działacze demokratyczno-narodowi. Więc też w *Naprzodzie*, a i w innych pismach, mniej się pisało o kustoszu, a więcej o pp. Dmowskim i Balickim.

Do Rady Muzealnej należą obecnie z emigracyi pp. J. Gałęzowski, prezes, Z. Laskowski, Z. Miłkowski, Gasztowtt, Rubach, Korytko, Obrycki, Rużycki, Lewakowski, a z kraju pp. Fr. Rawita Gawroński, Turski, Bojko, Balicki i Dmowski. Nazwiska te mówią same za siebie. Są to ludzie czyści i nawskroś obywatelscy. Dzisiaj wszyscy pełną gębą wymyślają na nich i w niebogłosy bronią świętości Muzeum. Ale przez lata całe pies się o nie nie zatroszczył. Zapałem i ofiarnością szlachetnych przedstawicieli emigracyi, pomocą członków krajowych, utrzymywała się i rozwijała ta instytucya. Więc nie kamienie na nich ciskać, ale zwrócić się do nich z całym szacunkiem i z całem zaufaniem, że jeżeli kogo, to ich najbardziej, bolą wszystkie niedomagania Muzeum i że zrobią oni wszystko, aby ustało to co jest złe.

D. 1. kwietnia b. r. odbyło się w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego zebranie, w którem wzięli udział, na zaproszenie komitetu, profesorowie, literaci, publicyści i t. d. Wnioski, które chciały pominąć Radę Muzealną, jako nie zasługującą na zaufanie i nasłać tam rozmaite komisye, co zresztą było niewykonalne, upadły. Przeszedł natomiast wniosek, zwracający się „do Rady Muzealnej z wezwaniem, aby jak najspieszniej podała wyjaśnienia w sprawie zarzutów, podniesionych przeciw zarządowi Muzeum, oraz przedstawiła jakie środki zaradcze zamierza podjąć“.

Prezes Rady Muzealnej, p. Józef Gałęzowski rozesłał w ostatnich dniach następujące oświadczenie:

„Wobec ataków na Radę Muzeum w Rapperswilu, połączonych z całym szeregiem zarzutów dotyczących gospodarki muzealnej, — oświadczam, że ponieważ zarzuty te skierowane są przeciw całej Radzie, nie mogę odpowiadać na nie w mojem imieniu, ani też nie może tego uczynić delegacya paryska, będąca organem wykonawczym Rady. Natomiast oświadczam też, że na najbliższym zjeździe Rady Muzealnej, t. j. w sierpniu b. r., wszelkie podniesione zarzuty będą gruntownie roztrząsane; poczem ogłoszony zostanie memoryał, wyjaśniający wszystkie kwestye tyczące się instytucyi

naszej i jej Rady, a poruszone w listach prywatnych i w pismach publicznych. Dyrektor Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu Józef Gałęzowski".

Obowiązek Rady Muzealnej, której członkowie oczywiście sami najlepiej to odczuwają i widzą, jest dzisiaj bardzo jasny: poruszenie wśród oświeconych warstw w kraju jest bardzo powszechne, zaniepokojenie jest bardzo silne, więc wyjaśnienie trzeba dać jak najprędzej (t. zn. już przed zjazdem sierpniowym przygotować wszystkie materyały potrzebne do uchwały) i trzeba, aby były one stanowcze i zupełnie uspokajające.

Stan polityczny kraju.

Gazeta Narodowa z dn. 13. kwietnia podaje dwie znamienne notatki, illustrujące smutne nad wyraz położenie polityczne kraju. Jedna z nich brzmi:

„Jak wieści chodzą, najwybitniejsi, najbardziej zasłużeni posłowie parlamentarni, jak wiceprezydent dr. Starzyński, dr. Włodzimierz Kozłowski, prof. Antoni Górski, JE. Korytowski i inni nie zamierzają nadal kandydować. Jakieby były powody tak licznego usuwania się ludzi najzasłużeńszych i tak bardzo potrzebnych dla zastępowania interesów kraju i narodu w parlamencie, a równocześnie mających wielkie zaufanie w szerokich kołach społeczeństwa polskiego, dziś nie wiemy i sądu o tem nie wydajemy. W każdym razie, gdyby to było wskutek obawy, że tacy ludzie nie mieliby w przyszłem Kole dość możności działania podług swego przekonania i najlepszej woli — byłoby wielkiem niebezpieczeństwem dla interesów kraju — i niech będzie ostrzeżeniem dla tych, którzy mają wpływ na wybory i na ukształtowanie się przyszłego Koła Polskiego".

A druga, choć pozornie dotycząca zupełnie innej dziedziny życia społecznego, właśnie z powyższą notatką zestawiona być musi:

„Dotychczas odbyły się już doroczne walne zgromadzenia prawie wszystkich instytucyi finansowych, a te, które ich dotąd nie odbyły, już je zapowiedziały na najbliższe dnie z powodu, że czas do zdania sprawy i rozdziału zysków z ubiegłego roku jest już i tak dość spóźniony. Nie słyszymy jednak nic dotychczas o zapowiedzi walnego zgromadzenia Banku parcelacyjnego. Wprawdzie ta instytucya nie będzie miała do rozdania „dochodów", ale z innych powodów musi być jej walne zgromadzenie dla całego społeczeństwa bardzo interesujące. Czekamy więc niecierpliwie na sprawozdanie, zamknięcie rachunków, bilans i walne zgromadzenie Banku parcelacyjnego".

Kronika.

Z zaboru austryackiego.

O Muzeum rapperswilskie. Z inicyatywy Komitetu zawiązanego przez paru profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego odbyło się dn. 2. b. m. w Krakowie zgromadzenie w sprawie Muzeum narodowego w Rapperswilu z powodu licznych zarzutów podnoszonych ostatnimi czasy przeciw jego kierownictwu. Po przemówieniach pp. Szpotańskiego i Feldmana i obszernej dyskusyi uchwalono rezolucyę prof. Stanisława Strońskiego polecającą zwrócić się do Rady muzealnej o wyjaśnienie zarzutów oraz wskazanie środków zaradczych, tudzież prosić prawników o zbadanie aktu fundacyjnego.

Stulecie Gazety Lwowskiej. W dn. 4. b. m. *Gazeta Lwowska* najstarszy organ polski w Galicyi a po *Gaz. Warszawskiej* najstarsze wogóle czasopismo w Polsce obchodziła 100 rocznicę założenia. Założona w r. 1811 przez Fr. Krattera, jako organ urzędowy gubernatora galicyjskiego, od czasów redakcyi J. N. Kamińskiego poczęła rozszerzać ramy aż pod obecną redakcyą p. A. Krechowieckiego stała się poważnym organem narodowym ze znakomitym działem literackim skupiającym najlepsze siły polskich literatów.

Śp. Włodzimierz Łoś. Dn. 2. b. m. zmarł wiceprezydent namiestnictwa we Lwowie, Wł. hr. Łoś, Urodzony w r. 1847 w Galicyi wschodniej, od r. 1871 do 1883-go był urzędnikiem namiestnictwa, a potem ministerstwa Galicyi za czasów Ziemiałkowskiego; w r. 1904 mianowany został wiceprezydentem namiestnictwa i urząd ten piastował aż do zgonu, ciesząc się ogólnym szacunkiem w kraju i Sejmie, gdzie przez 20 lat był komisarzem rządowym.

Z zaboru rosyjskiego.

Przesilenie w Rosyi. „Przesilenie parlamentarne" w Rosyi skończyło się na tem, że obie izby prawodawcze przyjęły interpelacye do rządu w sprawie popełnionego przezeń bezprawia przez zurlopowanie Rady państwa i Dumy i zastosowanie § 87. ustaw zasadniczych do projektu o ziemstwach na Rusi. Październikowcy, którzy początkowo zajęli groźne wobec p. Stołypina stanowisko prędko skapitulowali: na stolcu prezydyalnym Dumy zamienił p. Guczkowa p. Rodzianko, który, jak powszechnie uważają, będzie powolnem narzędziem w rękach premiera.

Sprawa chełmska. Na posiedzeniu Komisyi wniosków prawodawczych rozpatrującej projekt wyłączenia Chełmszczyzny wypracowany przez podkomisyę chełmską przyjęto w dn. 4. b. m. uchwałę, że prawa gen. gubernatora warszawskiego nad g. chełmską zostają przekazane ministrowi spraw wewn., w sprawach zaś sądowych nowa gubernia ma podlegać juryzdykcyi kijowskiej Izby sądowej, nadto usunięto język polski z sądów gminnych. Na posiedzeniu z dn. 7. b. m. Komisya uchwaliła znieść sąd okręgowy w Siedlcach a otworzyć w Chełmie, zaprowadzić w nowej guberni nieistniejące dotychczas w Królestwie sądy przysięgłych i zabronić notaryuszom wydawania aktów pisanych po polsku. Na tem zakończono organizacyę sądownictwa w gub. chełmskiej.

Maryawici. Komisya do spraw wyznaniowych wniosła do Dumy referat o projekcie prawa o maryawitach, którego główne podstawy zasadzają się na udzielaniu maryawitom prawa propagandy, wykonywania obrzędów, budowania kościołów i cmentarzy, na zwolnieniu duchownych od służby wojskowej. Prowadzenie ksiąg metrycznych powierza się władzom cywilnym, ustawy gmin wyznaniowych zatwierdza ministeryum. Komisya proponuje oddać prowadzenie metryk duchownym, rozstrzyganie spraw małżeńskich pozostawić także duchowieństwu maryawickiemu a samą sektę traktować jako gminę wyznaniową, posiadającą faktyczną hierarchię kościelną.

Z zaboru pruskiego.

Kurczenie się ziemi polskiej. Jak pisze *Lech* gnieźnieński p. Szulczyńska z Ujazdu, za pośrednictwem dwóch Polaków, sprzedała swoją sześciomorgową posiadłość kolonišcie niemieckiemu.— Maj. Górzewo, sprzedany w r. z. przez p. Łukomskiego agentowi Piotrowskiemu przeszedł, jak się należało spodziewać, na własność Komisyi kolonizacyjnej.

Zjazd Sokołów. W dn. 3. b. m. odbył się w Poznaniu zjazd delegatów 12-stu okręgów Związku Sokołów polskich w Rzeszy niemieckiej, na którym oprócz zmian regulaminowych przyjęto projekt zabezpieczenia Sokołów od wypadków przy ćwiczeniach oraz wyrażono życzenie, aby gniazda zajęły się pracą oświatową i obowiązkowo urządzały doroczne obchody Kościuszkowskie.

Erratum.

W n-rze 51. *Rzeczypospolitej,* w nagłówku, mylnie wydrukowano nazwisko p. Fedorowicza jako autora kłamliwego artykułu w *Courrier Européen,* zamiast p. Fedorczuka, jak być powinno, za co najuprzejmiej przepraszamy wszystkich tego nazwiska przyjaciół naszego pisma.

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Sykstuska 46, ekspedycya ul. Murarska 31.

Drukarnia Ludowa we Lwowie, plac Bernardyński 7.